

BOGDAN CZAYKOWSKI

SPÓR Z GRANICAMI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

11 260.628

12 427.565

SPÓR Z GRANICAMI

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom XCVIII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

BOGDAN CZAYKOWSKI

SPÓR Z GRANICAMI

Jadze

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

TEGOŻ AUTORA

Trzciny czcionek, Londyn, 1957. Oficyna Poetów i Malarzy.

Reductio ad absurdum, Londyn, 1958.

Sura, Londyn, 1961. Oficyna Poetów i Malarzy.

HOROSKOP W CZASIE PRZESZŁYM DOKONANYM

I byłem śmieszny
W piórach starych gniazd.
Na pawiu morza położyłem dłonie,
I byłem śmieszny
W blasku, w świeście gwiazd,
Patrz jak kuleje,
Jak pociąga girą,
Jak mu paznokcie wyrosły przez ziemię
W bledziutkich ostrzach traw.

Z ciemnych ech pieczar
Wychodziłem w góry
Dymami szczytów w chmurach uwieńczony,
Stary Abraham, zamieszany w szwindel
Z okrutnym bogiem.

Ze złotym cielcem miałem śmieszne sprawy,
Szpetny rudzielec trwoniący nasienie,
W strachu przed nowym targiem,
Gdy Izaak
Młodej dziewczynie puch dłonią odgarniał.

I byłem śmieszny,
Kuśtykający na sękatej żerdce
Z filozofami których śmierć umarła:
Co tu chce ten piasek,
To ciemne próchno świecące siwizną,
Ten obnażony z suchej skóry piszczel?

Choć jestem piasek i kryję umarłą
W głębokiej suszy rozpadlinę rzeki,
Choć w śmiechu chodzę i budzę się w śmiechu
I zanim wstanę, trzy dni leżę w grozie,
Choć nikt nie schyla się nad moim grobem,
By przerażenie pochowanych żywcem
Opisać w śmiesznie przeraźliwej prozie;

Choć jestem śmieszny w piórach starych szczepów,
Nad pawiookim schylony jeziorem,
Szkło tęczącej soczewki mnie skupia
Na suchej trawie

I gdy pożar biegnie
Po migotliwej szczecinie powierzchni,
W głębi z piorunu cegła jak fundament.

Z opoki rośnie bumerang zieleni.
Dzikie mustangi szczypią kwaśne trawy.
Ziemia obchodzi siebie słońcem i gwiazdami.

ARS POETICA

Konfiguracje są konspiracjami
a dojrzewanie
to jest kwestia zdrad
i odzyskanych niewinności
także
ściślej tęsknoty ptaka
do wędrówki.

Jest prawo czterech kół
które się nie doganiają
i koła piątego co w pyle
towarzyszy purpurowo i złoto.

Jest prawo opadu dojrzałych jabłek.

Prawo lejc.

Trzeba przejść przez zdrady
samego siebie, do elastyczności.
Ale nie ma zgody na śmierć.

INTRODUCTIO

Poezja potrzebuje studiów:
dwunastu dyscyplin
i pewnej ilości sztuk.

Któż spamięta
świat w perłowym poranku?

Nie może się też obyć
— odkąd już bywa sama —
bez punktu orlego
i dziecińcy w szponach.

Linoskoczek
na granicy sprzeczności
ma w uchu świat grawitacji,
chodzi ciałem Newtona
i zgrabny matematyk
zdumiewa Pitagorasa magią liczb.

Dziecko
umie całą gramatykę na pamięć.
Ale gramatyk widzi struktury
i nie jest potrzebny „w poezji”.

Czytelniku, zajrzyj do moich „martwych natur”.
Projekcje kolorów szukają stałych punktów zawieszenia,
trwalszej płaszczyzny, bryły krystalizacji,
a cóż jest trwalsze niż śmierć?

P O G R Z E B

Więc trup...
Więc ja.

Chodziła Wenecja
z Florencją pod rękę
i tak ci galwanizowały tego trupa
że wiatr słoneczny hulał mu po twarzy
i aż do stóp dobiegał jak języki ognia.

Ach, tam był płacz
jak zimny mokry mur kostnicy
i wieniec zasuszonych jaszczurów
grupką, grupką i za ręce się trzymając
pod te jakieś osiki drżące
te pieski z podwiniętą kitą.
Ta cała zbrojownia, husaria, orszak mdlejący
w siwiutkim szyszaku,
las makówek, świec do pozłoty.

No i pod te brzózki olchowe
osikowe
coś nieśli
a widać, że ciężkiego.

Bokiem, ustroniem, urwistą ścieżką,
jak ta romantyczność, duch poezji naszej,
dreptała Alicja, pomykała Milicja,
się nie spotykając.

Wtem te tłumy
na wytartych kolanach, porwały się
jak gibka łoża, i rachunek buciorów,
saldo kamieni młyńskich,
deficytowały, a oblicze madonny
ciemniało, półmrok był, gwiazdy
się dopalały na burzliwych cmentarzach.

A mnie (więc ja) cały ten żal (ten żal, ten trup)
śmiechem zanosił, tarmosił,
małom nie pękł.

Chodziła Alicja, chodziła milicja,
i tak ci galwanizowały tego trupa,
że iskrzył świerkiem jak fajerwerk.

Żałobnicy spuścili parasole na kwinty
i stali tak z otwartymi głowami
pod deszczem jak groch gwiazd.

Grochem muru nie przebijesz,
Intonował ksiądz nad trumną.

ŚMIERĆ FAUNA

lustro lustro
tak przystawiał jezioro
ad verbum

pojechał po przyrodę
drzewnie, morsko,
lotnie

tych światłał
gra odbić
gdyby wykres
zrobić
poetycki

rzucany
światłem od morza
z gór w szyby
z chmur
w morze
chmur

konstrukcje tych płaszczyzn
światlnych
drapieżne
tnące
ostrzami zwierciadeł

odrzućany od ścian przejrzystych
rozjarzony odbiciem od śniegów

przyciągnął
za sobą
bale materii tkanych
włóczkowe robótki
górkę na koturnach
koturny alpiste
martwe naturki

a tu:
metaformoz
ten
noc jakby
ta mgieł z syreną w zatoce żal

I w nasturcjach narcyz natury
zbudzony trzaskiem światła i lustro
odzianych dni
tkaniną
prześwielony trup klisz
zginął.

AGE DE LA PIERRE (II)

wyświetlonym cieniem Adama poświęcam

My tu łupki zbieramy,
krzeszemy krzesiwo, w skóry się
odziewamy,
mój mąż ma piękne igło

widoczek klasyczny się ściele

mamy działaczy kulturalnych
i w ogóle żyjemy za pan brat z przyrodą
zwierzęta nas mają za swoich
a to ptaszyny nam śpiewają
a to motylki koło nas latają
mój mąż przechowuje w żelaznym pudełku
muszkę z brylantem

z panem bogiem rozmawiamy
pod gwiazdą gołą
i w ogóle jest nam jak za piecem
słoneczko świeci
popiołów tylko dużo
jak kiedyś w środę

dzieci nam się rodzą śpiewające
jak ryby w tutejszych rzekach
i myślimy że to jest ziemia
albo inna planeta
może księżyc

mój najmłodszy
wybiera się z ekspedycją
na Waszyngton
podobno jak mówią najstarsi
100.000 z-mikrofilmowanych książek
ocalało w schowku
Mona Lisa i Marylin Monroe
i jakieś kości
słodko bieleją
jeszcze z czasów
kiedy murzyni byli podobni do małp
a żydzi zamordowali chrystusa

czasami śnią się nam miasta
Troja Ateny-Jerozolima Londyn
ale to wszystko odrzucone w czasie
jak przed tym co go żydzi

widoczek klasyczny się ściele

ano sarneczki się łaszą
ano krokodyle zbratane
z mułów nam coraz wynoszą
dawne królestwa

popiołek sypki się sypie
i jeszcze gdzieś dymi

C Z E G O S I Ę T K N Ę

czego się tknąć na kulturowej
to obce
taki weit stoss kopernik słynny malarz
grunwald
chopin, nie mówię leśmian, nawet tuwim,
morsztynowie szli z niemiec i włoch
herbert jest anglikiem
nawet tatarkiewicz

nazwiska mówią
czego się tknę?

litwy ?
ojczyzny mojej

LA CONDITION

Miał trzy lata i bęben,
Wracał w stany zaprzese,le,
Pałeczkami na skórze
Wykłuwał tatuaze.
Zdobył czapkę-niewidkę,
Strój błazeński od wstydu,
Umiał widzieć na oślepi,
Umiał mówić jak niemy.

Kiedy nachodzi na nas niemota,
Rodzą się stany pół-normalne,
Tlą się ryby nadwodne,
Wylażą oczy z smugi dymu.
Akwarium świeci jak balon,
Świat się toczy kuliście,
Ale nas niewidocznych
Kryje dym mokrych liści.

W towarzystwie jak potwór
Czai się jakaś postać,
Widać kaptur i uszy,
I ruch warg, i nic więcej.
Coś potrafi nas zmrozić
Wpółród śmiechu nagłego,
Żółta skóra bez włosów
Obciągnięta na ruszcie.

Umieć widzieć abstrakcje
Boli jak aberacja:
Przemarsz włosów przez ciała
Bunty wznieca w zaświecie;
Tłuste ciało filuje
Zanim buchnie płomieniem,
Rudych wąsów pożary
Giną w czeluściach twarzy.

O straszliwa opresjo,
Bywać przelotem z burzy
W suchej wirtuozerii
Krajobrazu z ogłoszeń.
O gnębiąca obsesjo,
Wracać z technikoloru
W mroczne rozgałęzienie
Siedliska żmij — korzeni.

Kto ma czapkę-niewidkę
Ten może zamknąć oczy,
Usunąć się w kąt, milczeć,
Jechać na osle przez palmy.

ASPEKTY CZASU

Czas nas dościga nawet w obłąkaniu.
Ucieczki nie ma. Gwałt w zawiłych sferach.
Krążą drapieżne sowy puszystsze od snów
i jak zegary przybywają nocą
by w dzień ubywać cienką strugą pierza
z krwiożerczych szponów. Tyle napisano
o właściwościach czasu.

Obłąkani krzyczą: minuta na dwunastą!
i dwunasta była.
W cyfrach jest alegoria. Cyfry są światami.
Zamknięte w czaszkach opukują światło.
Godzina mija, godzina przybywa,
w wyschniętym doku straszy szkielet
wrak.

Potem okręty. Pasażer pijany
wstrzymuje słońce, toto coelo słońca
wprawia w ruch czasu.
Z dalekich gwiazd zabłyśka chwila świetlna
i okopconym szkłem jak łza w myśl sływa.

Godzina mija, godzina przybywa.
On nas dościga nawet w obłąkaniu.
A cóż dopiero w racjonalnym bycie,
który podzielił czas na dysocjacje.
Pereat mundi: trzeszczą grawitacje.

I znowu krzyczą: minuta, minuta,
a już dwunasta ich stawia za czasem
i sto czterdziesta czwarta grzmi po tarczy
zegara, który ptakiem puszystym ucieka
rozczipierzony w ptasim obłąkaniu.

I dzień ubywa,
zastyga w Zodiaku.

To jest twój łańcuch
i rytm twego tańca.

O gwiazdo czasu.

S Z K I C S K R Z Y P K A

A on to kończy i kończy
Już zdawałoby się włos po włosku
Z ogara wyrwał
I ten mglisty wiechecik
Na szkielecie do cna rozpajęczył.

Już myślałem rozprzęgło się rusztowanie,
Nad którym ten baldachim cierpki utkał,
Lokując cały swój szwajcarski kapitał muzyki
W końskim włosiu.

Już był u niego Leonardo
(kończy się jedna sztuka, zaczyna druga),
I obrysował czaszkę ostrym piórkiem,
I Rembrandt sine żyłki przeliczywszy
Odrzucił całe próchno światła w głębie mroku.
Przez chwilę drapieżny cień obrazu musnął Greco
I stanął z boku, jak przystało na artystę.
Już tu wielu pracowało nad tym starcem.

A on się kończy
I z koncertem nie chce ustąpić:
Muzykę posłał na łowy,
Śpi w dzień, okrzyczał noc za parricida.
W drzwiach nagle staje strukturą ruiny,
A jeszcze ruina strukturą.
I ta śmierć żyjąca mogłaby straszyć,
Gdyby mu ktoś potrzywał strzemię i zaciął klacz.

KOLEDA

w bieli urodzony, ciemnością cię karmię,
nie przyniosą ci królowie
srebra ani złota

gwiazdę nad twym domem
zasłonią anioły
ciemne jak heban

gdy będziemy uciekali
bez świateł, bez dróg,
kanałami

zostaniemy na miejscu.
Egipt mobilizuje wojska
w Izraelu dynamit

nie ma gdzie unieść główki
kraje podminowane
błyszczą złowrogo na celu

matko, nałóż żałobę,
odpraw Jan Chrzciciela,
wody Jordanu skażone

nie zamienimy w wino
wody na weselu
zapalają pochodnie

w trzydziestym trzecim roku
krzyże staną na stoku
bez gwoździ

i grób się otworzy
nikt więcej nie uwierzy
Judasz nie zapłacony

Zstąpił do piekieł
Trzeciego dnia nie zmartwychwstał
Nie wstąpił na niebiosy
Nie siedzi na prawicy
Nie będzie sądził żywych ni umarłych.

W I E R S Z D Y D A K T Y C Z N Y

Kiedy się kończy dobrodziejstwo ognia
A rozpoczyna przekleństwo pożaru —
Nie zapominaj, że łuna jest tęczą
Którą na chwilę jeden kolor pożarł:
Czerwieni.

Kiedy się życie kończy jak dym z komina.
Gdy nikt nie liczy śmierci, bo cyfra
Jest większa niż obejmie wyobraźnia —
Nie zapominaj, że tylko na chwilę
Pochłonięta jest krew przez żarłoczność
Bieli.

MITOLOGIA

Adamowi Czerniawskiemu

Ku Olimpowi szedłem nocą
Odpoczywając widokiem w dzień.
Krokiem tanecznym biegły furie
Szarpiąc za włosy cień.

Badałem Pytii usta
I Kasandry wzrok.
W oczodołach jarzyła się pustka.
W ustach wrzał bełkot.

Mówiłem z Apulejusza osłem,
Lecz wrył się tępo w czas
I zęby szczyrzył żółte
Jak wściekły pies.

Odoswojone zwierzę — rzekłem —
Widocznie upłynął szmat historii:
Eros skurczony jak embrion
Patrzy z przestraczem w twarz glorii.

Smrodliwe wyrzuca popioły
Wulkan Etny.
Już Leonidas goły
Spalony. Kwilią sępy.

Kwilą. I szemrze Dafne
Zwęglona.
Owoce zrodził trefne
Gaj Platona.

Przekwitły w płomieniach dżungli
Furie. Nie słyszę głosów.
Tylko nad stadem kundli
Płacz albatrosów.

Na ogół jednak ptaki
Niewolnikami są okrętów.
Tak że dziś cynizm szczurów
Zda się odwagą.

Ale okręt nie tonie.
O bogowie z góry!
Przez szpary w nieboskłonie
Gwiazdy węszą jak szczury.

Lecz gdzie praca termitów?
Gdzie erozja morza?

W zimnej apatii błękitu
Czai się burza.

SKORUPY

Skorupy garnców na wino i miód
pozlepiane stoją w muzeach:
śpiewaj, muzealny szczątku.
Na półkach myśl drzemie pod kurzem złożonym.
Kto wydrze światło? Kto sprzeda w nowej oprawie?
Wieki w papyrusach drzemią,
zwinięte w trąbki.
Czasem zawiewa jakby wiatr historii.

Lecz po katakumbach chodzę —
zaduch jak politruk siadł na politurze.
Muchy ludzkie obsiadają szkielety,
zaglądają kościom w twarze.

Rosną pylony z prochu na cześć bogów
których szukam,
szukam, bo znajdę
w katakumbach muzealnych, pod okiem
politruka w kopule.

KOLEKTYW

Moje stepy zaludniają się,
pług wyrzuca szrapnel.

Moja ziemia odwrócona
na saharze
traci malaryczny kolor skóry.

Wprowadzamy prymitywną irygację.
Wychodzimy wspólnie na pole.

Tylu śmierci wymaga ziemia
by urodził się na piasku czarnoziem.

Roztrącam widłami gnój przeszłości.
Zaoruję próchno trumienki, mój bracie.

Uprawiam ugór na ruinie.
Rolnik czy grabarz?

K O M U N I K A T

Wchodzimy potwornie w te same wody,
w te same zastałe sadzawki,
ale gdzie jesteś?

Czy ascetyczny piach wyszał już twoje kości?

Co zrobił z duchem twoim Bóg, duch na duchach?
Gdzie porwał twą istotę jastrząb złotopióry?

Dwie kobiety cię nosiły,
a teraz gdzie jesteś?
Pochylały się nad tobą dwie jasności.
A dziś, srebrnie rozświetlona
ciemność cię wyobraża
pochylona.

Z synem brata powiązany ciemnym losem,
w konstrukcji serca ponad czas
powtórnie ucieleśniony?

Nie ma od żywych ratunku, kiedy kochają.
Z bogami chodzą w ogniach twórczego szału.
Szałę sprawiedliwości bezbożnie przechylają
dla tych co wiecznie skrzywdzeni
martwą dłonią
natury?

AGE DE LA PIERRE

W tym mieście usunięto gruzy z placów.
Pobudowano nawet nowe domy (każdy może to sprawdzić
Naocznie).
Cmentarze uporządkowano.
Sądy skazały jednych, i drugich.
Później były amnestie pomordowanych
I pozostałych przy życiu rehabilitacje.
Dobrowolnym banitom pozwolono wracać.
Ale oni trwali przy nadziei.
Innych pochłoneły pożytki.
Natomiast uzyskano repatriacje.
I tak ci i owi wrócili do życia.
A ci i owi nie wytrzymali cudu nad Łazarzem.
Pytasz, jakie otwierają się perspektywy?
Nie usuniesz gruzów myśli, nawet budując pomniki
Na każdym z grobów.
Aż wzrosną nowi ludzie.
O których tyle tylko wiadomo,
Że wezmą ciężkie dziedzictwo.

P R Z E S M Y K

Wąska szyjka klepsydry
w zaciśniętej dłoni.
Chcę piasek wrócić
z dna.

Wiem, że kiedy się zawęża
i kiedy brak tchu,
przyszykowane w niebie czekają orszaki tlenu,
ptaki zapowiadają świt
kwileniem ze snu.

Wyżęty przez ucho igielne
stają na ostrzu.

Odwracam klepsydrę.
Czas znów jest wymowny.

Z W A Ż

Zważ, mój kochany, ciężar nieba nad miastem.

Kałuża Battersea wisi nad nami; zagaszone gwiazdy.
Żołądek podchodzi mi pod gardło. Zieleń oczu
Więdnie od sadzy. Kochany, jedźmy, uciekajmy!
Nie mogę zapomnieć wzgórz fioletowych. We włosach
[wiatr przywiozłam.
Z bzami wracałam, lecz ich zapach jest bolesny — trupi
[ferment.

Dławi mnie noc duszna.
Gaszone łożówki mdlą.

I zważ ten słup powietrza jak w szybie kopalni.
Słyszysz szum samochodów za oknem? Czujesz spaliny?
Morze? Odeszło od Pięciu Portów, ale opływa wyspę.
Winchelsea zatopiona wynurza się z fal gniadych.
Przed siedem domów, karczm osiem, przed rozdzwonione
[kościółki
Zajeżdża powóz nocą: wysiadamy, kochany.

Po basztach pnie się klematis.
Kwitnie w strzelnicy wistaria.
Kosy gwiżdżą w modrzewiach.
Na piersi ciemniejące
Opada jabłoń którą trzęsą pszczoły.
A farma na wydmuch. Płomień pociągów w oddali

Przez ciemne krzewy nocy.
Niebo całe objęłam. Niebo białe od gwiazd.
Utonęłam
W jabłonce.
Gdy duch mój tu zasiada, ciało moje w trawach
Przyjmuje cień twój upalnego słońca.

Chcę być porwana. Cezarze, poprowadź mnie za rydwanem
Do słonecznej Italii!

Bo zważ, zważ mój kochany, ciężar nieba nad miastem.

O G R Ó D

matce

Tu, w tym ogrodzie jest na pewno człowiek,
Lecz widać tylko wiele oczu, a nic ciała.
Tu, w tym ogrodzie może jest kobieta:
Wśród połyskliwych liści leży pierś dojrzała.
A w szmerze jest słuch dziecka — jakby powój
Pnący się na łodygi słoneczników.
Chyłkiem rozgarniam trawy u stóp czyichś,
Lecz brak mi wciąż odwagi podnieść oczy:
Przedemną stoi nagość — jak tu pięknie!
Ogród zielnym półkolem wziął mnie w cichy nawias
I bananowym liściem zakrył jasną wypukłość.
Nie trudzę zbytnio wzroku i tylko potrącam
Cięciwę półksiężycy — arbitralną linię.
I tak mi dobrze z tą mą konstrukcją w błękicie,
Że lekkość myśli wznosi wzwyż dali kopułę,
Wyodrębniając jasny obręb horyzontu.
W ogrodzie tym na pewno jest kobieta:
Oto się białe ramię przytula do jabłoni,
Gdy górą fragment twarzy wciąż szuka dopełnienia,
A nagi tors mężczyzny wynurza się z jaśminu.
Szelesty w taflach liści i liście liście liście
Szelesty rozniecają w wysmukły kształt płomienia
Zielone iskry pąków. I zieleń płonie traw.
Skoczyła noc na księżyc. Pod gwiazdą usnął paw.
Wiatr zgarnia rdzawe srebro. Nad wodą palma kwili.
Z łupiny kokosowej pije mleko kobieta,

Która tu jest na pewno. Jej ciało to wyłącza
Niezastąpione słońce, a później chłód wygładza
I rzuca na ramiona w półmroku ciepłe włosy.
Więc teraz się przybliżę.

Po liściu mrok się stacza
I gdzieś tu bywał człowiek — tu wklęsłość miał na biodro.
Gdzie teraz po jeziorze gna zmarszczka wody liście.
I pewnie te oliwki brał w usta w które spływa
Od dawna słona kropla — co z czoła się poczęła —
Gorąca kropla potu.

Więc teraz się oddalę,
By zmierzyć cień kaktusa długością mego snu.
Quieta non movere. Niech mrówki doją mszyce.
Siekiera trzebi ogród. Lecz ciągle płonie zieleń.
I najpiękniejsze z cisz wciąż kryją się w ogrodzie,
Który się kiedyś zwało — i pięknie — wirydarzem,
Lub rajem, utraconym, który tu opisałem,
Z pamięci.

W SOCZEWCE CHWILI NA TARASIE

Bière d'Alsace.

Rzeka leniwa, zgięła kolano.
Ramię rzuciła w zagajnik.

Podmuch leniwy. W pianie piwa
Pruje koronkę.

Wilczur oczyma
Waruje na rzece.

Południe skwarne.
Rzeka leniwa.
Dwa koty mruczą jak przyduszone dłońmi struny gitar.
Echo przebiega ogony: tam i na powrót.
Drzemiąca iskra elektryczności.

Konik kopie kopytem studzienkę
W żółciutkim piaseczku.
Jaskółki nad rzeką jak nożyce blasku
Tną powietrza łąkę.

W zagajniku ramię rzeki szeleści.
Żywica łśni przez liście na drzewach.

Na koniku faluje grzywa.
Kaskadami światła spada po dachu upału ulewa.

CZŁOWIEK TO TYLKO

Tłum jest jak morze.
Zanurzamy w nim dłonie
I prawie na ślepo
Wyławiamy przyjaciół,
I wychodzimy razem na plażę
Bosymi stopy smakować żółty piasek.

W piasku sypkim porzucamy się
Obok siebie jak muszle
I słuchamy wewnętrznego szumu swego,
Nie mogąc przebić skorup co kryją ten szum,
Nie mogąc zbadać tajemnicy
Ni swojej, ni cudzej,
Tej muzyki.

Obok nas porzucone w żółtym piasku
Leżą skorupy pękniętych muszli,
W nich jest pustka i cisza.

Czasem wygrzebujemy z piasku
Czerep muszlowy otwarty
I słuchamy czy szumi.
Przez chwilę zdaje nam się,
Ze słyszymy echa dawnej muzyki,
Ale to tylko my wewnątrz szumimy.

Za chwilę przyływ zacznie zwilżać pod nami piasek,
Za chwilę jego fale nas zagłuszą
I poniosą w głąb,
Gdzie się gubimy.

Tłum jest jak morze.
(Człowiek to tylko szumiąca muszla).

MODLITWA

rzuć mię w obłok panie

lecz nie czyń mnie kroplą deszczu
nie chcę wracać w ziemię.

rzuć mię w kwiat panie

lecz nie czyń mnie pszczołą
umarłbym od nadmiaru pracowitej słodyczy.

rzuć mię w jezioro

lecz nie czyń mnie rybą panie
nie potrafię być zimnokrwistym.

rzuć mię w las
jak szyszkę w trawę
niech mnie nie znajdą rude wiewiórki.

rzuć mię w spokojny kształt kamienia
lecz nie na bruk londyńskiej ulicy
panie gryzę zębami mury tego obcego miasta.

co mnie obracasz na ogniu
wyrwij mnie z płomieni
i ułóż na cichym obłoku.

ZDOBYCIE BERDYCZOWA

Wynieśli na pikach jarzący się miesiąc
I jarem przemknęli nad rzeką ku baszcie,
W tajnym komuniku pośpieni na koniach
Kamienieją rycerze Berdyczowa na warcie.

Oni, co wyrastając, zdobywali miasto
Uśpione ich snami, z porannym kogutem,
Ulicą żydowską, karczmą i białymi duchami
Schodzącymi łagodnie ku rzece
Po stopniach oszlifowanych kości.

Zdobyczne mieli w ręku, rosnąc w nim,
Lustro ziemi, wody i nieba
Pod korcem głuchej prowincji.
Nawiedzała ich gołębica języka w murach ciasnych
Przez wąsko sklepioną bramę raj.

Zdobywali jeszcze idąc z niego,
Miesiąc wynosząc na patykach
Za miesiącem; układała im się mozaika
Z pracą czasu naniesionych kamyków,
Nie budowali, a mieli dom,
Nie tkali, a jak lilie polne
Byli, ptaki niebieskie.

Nawet w burzę, od której rozpierzchli,
Podbili berdyczowskim obcasem
Wyślizganą stopę Europy.
Nie ruszając stopy skąd ruszyli,
Wrośli
W igłę w stogu siana,
W oś z oszlifowanych kości.

On szykuje wojska, zatacza działa,
Szturmy przypuszcza, biczuje kopytami ulice;
A nad rzeką rozłożony wrzącym obozem
Gnębi się, czy nie minął go Rubikon.

Z wykopalisk wznosi struktury miast
Gdzie ludzie posnęli pod lawą.
Zamieć kogutów po nocach budzi go z krzykiem.
Bezwstydney, szydercze plamy nosi na czole
Szpiegując za tajnym komunikiem.

Oto oś. Oto kość z ich kości. Tobie
Budować jak artyście. Z powietrza czasów,
Z trzciny własnych palców, łamanych za murami
Szaniec przeciw miastu.

REKONSTRUKCJA

I

Przesączenie się szarej maści połysku koni
stojących szyja w szyję w ogrodzie
jak dwa kasztany,
których grzywy zawiewa na parapet
wysokiego okna
przez liście wiatrem przewiane —

i przebudzone oczy córki
na przejaśnieniu nocy.

(Kto trzyma konie w mieście
pod oknami w ogrodzie!)

Musimy podejść do okna
i utopić wzrok w galopadzie zieleni.

II

Budzą ją jeszcze szelesty papieru
i na ścianach cienie rąk i nóg
rozbudzają do śpiewu
w szarosine poranki.

Musimy podejść do okna
i posłuchać galopady zieleni.
Zajrzeć w wodospady szarych tęcz.

III

(Kto by przypuszczał,
że rekonstrukcja mostów
oczyma dziecka
ruszy z kopyta
koni w ogrodzie?)

Natomiast śpi słodko przy pocałunkach,
choć ją budzą ptaki,
i nie budzi się na elektryczne trzaski czesanych włosów,
ale na grzywy szumiących kasztanów.
(Kto by przypuszczał?)

MAŁY PROMETHIDION

na zatknięciu dwóch iglic
przekłute bębunki nocy
na styku dwóch tarcz
przyleganie płaszczyzn
brzęk mosiężnych talerzy
grzechotnik tamburyn
i błękitny baryton
jak wstęga
bas
jak noc
przepływają korable koralowe rafy
karbunkułowe morze w porcelanie nieba
i dwa seledyny
dwa serafinowe
w śnie
jak jedwab
jak pocałunek lnianej chinki
przepłynęły korable koralowe rafy
ku seledynom odwiniętym
w za-horyzont
snu

tej nocy anioł wystąpił w obronie faryzeuszy
rehabilitował pobielane groby
kazał malować trupom twarze
i nadmuchiwać policzki aniołkom rokoko
i wszelką sztukę uznał za wiodącą w niebo
i wszystkim artefaktom kłaniał się serafin

a cherubin barocco zalecił poetom
rozmowa zesłała na Leibnitza
Wiesław rzecze: tak więc monada sztuce sens dać tylko może
i szuka metafory

i odparł seledyn:
zza horyzontu oko wyłowione wznoszę do zenitu
kopuły tam na styku iglic
na szczelinie pomiędzy tarcz dwie Janusowe
oblicze mają księżyc i słońce a słowem
ciało

SPÓR Z GRANICAMI

I wiatr się z granicami spiera
wytyczonymi
ale może już płyną lasy rosochate
z nadzianymi na rogi liśćmi
jak tarcze cynfoliowe
w palenisko słońca w seledynach.

Gra granic.
Pan ślepotę zdziera ze skórą.
Pan górom wierzchołki ścina,
Dolinom wymiona wzdyma.
Drzewa stawia, kładzie.
Pan gra.
Kosmaty satyr dzban niesie.

Gdzie ostry promień wbity w kopiec niby oszczep,
Gdzie świstotliwy czerep i rdzy obrzęk,
Gdzie ptaki na milczeniu wiszące
Jak latawce puszczzone z za błękitu —
Gra wolna szczodrostanów wiosen i jesieni:
Skąd ziemia jak brzoskwinia w słodczy atmosfer twarda
[pestka —

Tam, ku tanecznym ruchom dłoni,
Gdzie przybywają rogi na jeleniach,
Ku harmonii wyrazów.

Tam, gdzie go Pan napadł
Jedwabistymi obsesjami,
W seledynowych witrażach, z ołowiu
Tam go wyzwolił.

Przeszedłem i ja przez ognie seledynowe,
I może przemieniła mnie przezroczystość światła.

BIEG NA GRANICE

wywołując go
przebiegła czereda psów
a za nimi strzelcy ze starożytnymi muszkietami
suchy proch na panewkach
trzask wystrzałów

nagle
przystanęli nad jeziorem
i w tafłę snów zapatrzeni
widzieli góry przed oczami
słońce wytaczające się po mgłach doliny
krzyżyki ptaków

rozległa się dolina
echem wyznaczone granice wyrosły

czas zaprzeszły wyszedł ogromnym lasem
zasy przesypywał w migotliwej śnieżycy
kule ognia rozjarzał w pyskach latających lisów
wynosił starozłote liście na rogach jeleni,
gwiazdą do złotych koron spływał, wilgotnym diamentem,
w tych galeriach obrazów, w mrocznych korytarzach
zatrząskiwanych blaskiem monstrencji
gdzie przebiegał tropiciel, krzyki, potem strzały.

śledzono bowiem rezonanse,
pióra ptaków skrzypiały,
wiatr przewracał kurniki, roznosił szopy,

gawiedz w liściach zatracił,
odkrywał renesanse ozimin, ognisk upały,
mikowce do białości rozżarzał.

z każdym by się sprzymierzył,
bywał w rewolucjach, miał strategię globalną,
i zatracone znaki w dzieciństwie rozjaśniał,
w kuli latarni morskiej, na archipelagach,
gdy tropiciel zadudnił krokami po śladach
i na łodziach rybackich wyciągano sieci,
on cyklopie swe oko zagasił i w mroku
wyczekiwał na gwiazdę.

nagle mieli widoki górskie przed oczami
słońce wytaczające się po mgłach doliny,
chłopca w krzyżykach ptaków, niosącego kulę
w kuli, niby w akwarium, na szklanych ekranach
biegła czereda psów, a za nimi strzelcy,
suchy proch widok ściemniał
i z trzasku wystrzałów
wybiegł chłopak
na dłoni miał sen rozwinięty

(i uderzał o szklane granice jak ryba
złociście tęczująca pod powierzchnią rzeki).

P O Ż E G N A N I E

I tak nas naszły jesienne pogody,
i tak odleciał ptak, z nim liść i słońce.
Posłuchaj mowo, co ci mówi jesień,
pod skrzydłem szarym skulona, posłuchaj:

Tych poszczególnych istnień żal mnie bierze,
i tylko poszczególnych istnień żal mnie bierze.
Liczyłem dziś na palcach, bo to czas żegnania;
zapłatały się palce, kostki w nich chrzęściły.

Na wankuwerskiej wyspie zapijał się Malkolm.
Teobald na połowy wyruszał nad ranem.
Ciemna kobieta w wody spoglądała zimne
i zarzucała sieci na powrót Odysa.

Tak biegnie ścieg legendy. To ci mówi jesień,
kiedy nas naszły jesienne pogody.
Odleciał ptak, z nim liść i słońce.
Żegnajcie, przyjaciele. Żegnajcie i mnie.

BRZEG

I

Pozbieramy tu kamyki
pół i ćwierć szlachetne
tam muszelki i w całości zachowany krab
suchy pancerz wieku rycerskiego
którego odpływ
oglądałem z niskiego brzegu

zawiążemy
w węzeł
i siądziemy
na smolistym pniu sosny
maszty się kładą żaglami na wodzie

gdyśmy spłynęli w lawinie śniegów
przez te cienie wierzchołków, w dół, w dół,
w szalonych blasku hosannach,
o czym to mówi wykarczowana pustać brzegu
pióropusze iglastych drzew nastroszone jak orły w odlocie
ostrość tych zarysów na ciemniejszej emalii Knappa

wyrzucone przez morze kłody i pnie i maszty
ktoś już za nas poukładał w stosy
i podpalacza ręka się skrada
i biegną już postacie z nocy

ogładalibyśmy ten szczep
gdyby nie wina
choć odczuwamy zemstę duchów
i te płomienie liżą nam twarze
jak padlina wściekłych psów

II

Tak więc oto siedzimy na brzegu
wysysani powoli przez fioletowe palce mroku
rozkradani do szkieletów szarym światłem
szemrzące kopczyki piasku

piramidy odpływających w ciemność gór.

Wybrał nas krajobraz górzysty, morski, zadrzewiony, klimat
zmienny; chcemy nauczyć słowa suchości piasku, energii fal,
smukłości funkcjonalnej masztu.

Oko ludzkie
oderwane w przestrzeni
widzi ciało
i ma inne wizje:
budulca z przymuszonych snów
rybackich sieci,
gnozy

wyłonionej z piany wyspy Krk.

K I L K A M Y Ś L I

O ty złotolita
w kamieniu żytko piękna.

Zawsze myślałem
że rozumieć
to znaczy być źrenicą w świetle oka
że dotyk trwa w komórkach
zrzuconej skóry
że trwa pamięć wszystkich dotyków.

Prawda. Tu i tu
żyją odnowiciele.
W tym zwoju
kolczastych drutów.

Zawsze myślałem
że bogom równi
toczymy z własnych palców światy
pochyłe, z wiecznym spadkiem rytmu,
odnowiciele, może nawet stwórcy.

A jednak — napominacie —
trzeba się stać moralistą.

Chodzi za nami alegoria bestii.
Duch nas poraża (niecodziennej) rzeczy.
W języku rozbełtanym jak rozbitek w morzu
Topi się bałwan, mieszczech, dytator, inżynier.

Obłąkany morderca jest przecież wciąż z nami;
zabija go filantrop od nagich dziewczynek.

Czy przeczuwałeś, wielki moralisto,
jaki babilon maksym nieczytanych runie,
nie tylko dziś, i wczoraj, bo taka jest wieczność.
Doskonałmy nasz język, cel bywa sam w sobie.

Tę smagłą twarz o grubej wardze w snach widuję.
W izolowanej wizji podpieram jej czoło.
O jeszcze jeden gest wzbogacam repertuar marzeń.
Tych, którzy ze snów wyszli, wracam do ich źródeł.
Stoję na wielkiej wieży Babel, pełen wrażeń;
Ze mną Juwenal, Ezop, Swift, Krasicki.

Ach, gdyby mieć arsenał nieniszczącej broni.

K O M E N T A R Z

Chodzi o ruchy wewnątrz.
Wiatr jest też poezją
zewnątrz
ale wewnątrz ruchy? czy wulkany...
Misterność. Niech Konstanty
nie psioczy na kolibry.
(kolibry — korable)
Tyleż gry co igraszki.
Ześlizgnie się księżyc
po nieboskłonie.

Stoczy się łąza.
Lecz na stronie
uwidoczniając gestem, a więc ruchem,
mówimy.
Chodzi o ruch w słowach,
śpiew wewnątrz.

O koturnowa
wichuro za oknami!

Nie wręcz,
ale emancypując.
Pod parasolami
chińskich cieni.
Na smokach wyobraźni
ziejących ochrowym płomieniem.
Bo choć z ogniem
to są wciąż igraszki —

(fraszki)
— z przeistoczeniem.

SPIS RZECZY

<i>Horoskop w czasie przeszłym dokonanym</i>	7
<i>Ars poetica</i>	9
<i>Introductio</i>	10
<i>Pogrzeb</i>	11
<i>Śmierć Fauna</i>	13
<i>Age de la Pierre (II)</i>	15
<i>Czego się tknę</i>	17
<i>La condition</i>	18
<i>Aspekty czasu</i>	20
<i>Szkic skrzypka</i>	22
<i>Kolęda</i>	23
<i>Wiersz dydaktyczny</i>	25
<i>Mitologia</i>	26
<i>Skorupy</i>	28
<i>Kolektyw</i>	29
<i>Komunikat</i>	30
<i>Age de la Pierre</i>	31
<i>Przesmyk</i>	32
<i>Zważ</i>	33
<i>Ogród</i>	35
<i>W soczewce chwili na tarasie</i>	37
<i>Człowiek to tylko</i>	38
<i>Modlitwa</i>	40

<i>Zdobycie Berdyczowa</i>	41
<i>Rekonstrukcja</i>	43
<i>Mały Promethidion</i>	45
<i>Spór z granicami</i>	47
<i>Bieg na granicę</i>	48
<i>Pożegnanie</i>	50
<i>Brzeg</i>	51
<i>Kilka myśli</i>	53
<i>Komentarz</i>	55

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 17 FEVRIER 1964
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1964

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

